Nr. 51. We Lwowie, Poniedziałek dnia 22. grudnia 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Paryska.

w grudniu 1890.

(Burza w radzie municypalnej. — Niemcy w Paryżu — Śmierć ojca Gambetty. — Rouget de l'Jole. — Ślub panny Mohrenheim).

Wielka burza w szklance wody zawrzała onegdaj w łonie rady municypalnej miasta Paryża. Nie poważyłaż się prefektura tak dalece posunąć lekceważenia, jakie zwykła radzie municypalnej okazywać, że nie dała jej znać o zamierzonej bytności w ratuszu p. Carnot, który pragnął zwidzić urządzoną tam wystawę projektów mieszkań robotniczych? I sama jedna wystąpiła z pokłonami, od których radę municypalną wyłączyła! To też członkowie rady w słusznej zgrozie czując tak głęboką krzywdę, złożyli nadzwyczajną sesję i uradzili, że nadal będą z prefekturą ząb za ząb, oko za oko, a panu prefektowi przesłali votum nagany (blame) Jesteśmy gospodarzami ratusza — mówią; — jesteśmy u siebie w domu i prefektura nie ma prawa rządzić się w obrębie gmachu bez naszej wiadomości. Chcieliśmy powitać i uczcić naczelnika państwa w naszych progach, prefektura trzymała w tajemnicy przed nami jego przybycie.

— Prezydent zastrzegł incognito, — mówi skruszona prefektura. Nie wobec nas, ojców miasta. A przytem to nie prawda. Policja była ustawiona po drodze do Elysée i cała droga była usypana żółtym piaskiem.

W samej rzeczy, zaprowadzono teraz taką modę, że gdziekolwiek p. Carnot wyjeżdża lub wychodzi, czyli jak powiada Cassagnac *il porte ses pas augustes* wszędzie spotyka drogę żółtym piaskiem wysypaną. *Mr. Carnot joue décidément au souverein,* — dodaje dziś Cassagnac, znowu przypominając, że od czasu Napoleona III. takiej uroczystości nie bywało. Koniec końców demokratyczna rada municypalna Paryża uczuła się upokorzoną, że pozbawioną została zaszczytu oddania pokłonów panu prezydentowi.

Możeby lepiej taż rada zrobiła gdyby zechciała uradzić i poradzić w kwestji cokolwiek ważniejszej, aniżeli czołobitność dla p. Carnota. Oto z wykazu statystycznego, który jej przed miesiącem już złożono, okazuje się, że kochani niemcy, potrafili się już tak dalece rozgościć po cichu w Paryżu, że na bulwarach co trzeci czwarty sklep jest niemiecki. Liczą na samych bulwarach do 400 sklepów Niemieckich, na ulicy d'Hauteville jest ich 55; po 40 mają ulice de l'Echiquier i Faubourg-Poissonniere; po 30 ulice Enghin, Trévier, Paradis, Petites Ecuries; 20 niedługi bulwar Strassburg i t. d. I to są ci niemcy, którzy za niemców się podają; a oprócz nich jest bardzo wielu takich co figurują jako belgijczycy, szwajcarowie, alzatczycy i t. d. Otóż obliczają, że w tej chwili jest Niemców w Paryżu trzy razy więcej niż za cesarstwa i dlatego żądają od rady municypalnej, aby obmyśliła prawo dozwalające Niemcom zakładać w Paryżu sklepy tylko pod pewnemi warunkami i w ograniczonej liczbie.

Umarł p. Gambetta, ojciec „wielkiego trybuna". Depesza z Nizzy donosi, że po długiej i uciążliwej agonii chory Gambetta zmarł na rękach wnuków (po córce), opatrzony św. Sakramentami, których w ostatniej chwili, zażądał, pomimo, że całe życie spędził w obojętności religijnej. Rodzina Gambettów jest żydowskiego pochodzenia; ojciec zmarłego został neofitą i syn urodził się już katolikiem. Urodził się ojciec Gambetty w r. 1814 pod Genuą i nie naturalizował się zupełnie, czyli, że umarł włochem.

Śmierć Gambetty ojca wysuwa nanowo kwestję ostatecznego pochowania zwłok syna. Wiadomo, że zwłoki Gambetty spoczęły na chwilę w Panteonie, na znak, że Panteon temu człowiekowi się należy; potem jednak, na skutek wyraźnego żądania ojca, przeniesione zostały do Cahors i tutaj złożone w grobie familijnym. Otóż teraz z chwilą śmierci Gambetty ojca, powzięto zamiar przewiezienia z Cahors zwłok ojca, i odpowiednia interpelacja ma być wniesiona w izbie. Zwłoki Gambetty mają być sprowadzone z wielką pompą do Paryża i umieszczone w Panteonie, albo złożone w ogrodzie jego willi w Ville d'Avray, gdzie umarł i gdzie w tej chwili staje pomnik jemu poświęcony a budujący się z funduszu składkowego. Większość zdań oświadcza się za Panteonem, jako budowli narodowej, gdzie składają już ludzi na wieczne czasy, kiedy lada wywłaszczenie na użytek publiczny mogłoby narazić potomnych na nową exhumację zwłok Gambetty z Ville d' Avray. Które zdanie przeważy — zobaczymy.

Kto nie może również po śmierci zaznać spokoju, to autor tyle głośnej marsylianki. Tyle głośny Rouget de l'Isle nie może znaleść spokoju dla swoich doczesnych szczątków; włóczą je z kąta w kąt i obecnie po raz trzeci mają być exhumanowane i ostatecznie pogrzebane.

„Nieśmiertelny" Rouget de l'Isle umarł w r. 1836 i wówczas pochowany został w ogrodzie generała Blein, przyjaciela swojego. W roku 1848 wyjęto go z tamtąd uroczyście i złożono na starym cmentarzu w Choisy le Roi. Nie długo tu jednak leżał. W roku 1853 wydobyto znowu trupa i pochowano go na nowym cmentarzu, kupionym przez gminę. Obecnie cmentarz ten ma być zajęty na cele wojskowe, i mają znowu odkopać autora marsylianki i pochować go ostatecznie, oraz wystawić mu pomnik.

Kiedy mowa o tym człowieku, godzi się zaznaczyć, że jest on tylko autorem tekstu marsylianki. Wedle ostatnich poszukiwań przekonano się, że piękna istotnie i uroczysta muzyka tego utworu wzięta przezeń została z kantyczki średniowiecznej, do której Rouget de l'Isle dopasował jedynie słowa tekstu.

Rouget de l'Isle jest w przekonaniu niektórych Francuzów czemś tak potężnem i zjawiskowem, że po wszystkie wieki imię jego słynąć będzie. Postać jego znaleść można uwiecznioną i przez malarstwo francuzkie, rozumie się współczesne. W galerjach Luwru jest sporo jego wizerunków, a jeden z nich najlepszy w swoim rodzaju wyobraża Rougeta de l'Isle „po raz pierwszy spiewającego marsyliankę. On niby natchniony, z oczyma wlepionemi w sufit stoi pośrodku jakiegoś salonu, przy klawicymbale, na którym jakaś jejmość mu sekunduje. Dokoła kilkanaście postaci słucha tego w takiem skupieniu, jak gdyby zajęte były rozwiązaniem kwadratury koła.

„Autorem tej prawdziwej croute“ jest niejaki Pils. Obraz wisi w *Salle des Etats*.

Świetne były doprawdy zaślubiny panny Mohrenheim, córki tutejszego ambasadora Rossji z panem de Seze, porucznikiem 95 pułku piechoty. Stosując się do praw francuzkich musieli narzeczeni stawić się w merostwie cyrkułu dla spisania aktu ślubu cywilnego. Merostwo to zresztą odległe jest nie więcej nad paręset metrów od gmachu ambasady rosyjskiej. W dziedzińcu merostwa oczekiwała na orszak ślubny deputacja mieszkańców cyrkułu dla ofiarowania pannie młodej prześlicznego bukietu; — przyczem exdeputowany Trebault wypowiedział kilka słów gratulacyjnych. Panna Mohrenheim była zachwycająca w sukni z ciemnozielonego aksamitu i w czerwonej, aksamitnej kapotce z czarnemi koronkami na głowie. Pani baronowa sama miała ubiór z zielonego ze złotem atłasu, kaftanik wydrą podbity i kapotkę ciemnozłotej barwy; zaś panna Jadwiga de Mohrenheim, siostra panny młodej była w stroju o kolorach jasno czekoladowym i bladoróżowym. Mer, p. Risler, wypowiedział zwykłe zaświadczenie wzajemnej i dobrowolnej zgody narzeczonych, a w końcu sławną formułę: „W imieniu prawa łączę was“.

Kościelny obrzęd zaślubin, miał miejsce w kościele św. Klotyldy, i z wielką odbył się uroczystością. Od godziny jedenastej przed południem rozstawiła się policja na ulicach Burgundzkiej, Grenelskiej i Varennes, jako też na placu przed kościołem. Chodniki i plac pełne były ciżby, w oknach domów tłoczyło się mnóstwo ciekawych. Do kościoła ani sposób było się dostać, prócz za biletem z ambasady wydanym. O południu dano znać o przybyciu prezydenta republiki ; poznano z daleka jego powóz po czarnej liberji z trójkolorową kokardą. P. Carnot był w śliczoym ubiorze z aksamitu granatowego z galonami starozłotemi; asystent ambasady ks. Trubeckoj pomógł mu wysiąść z karety i prowadził go pod rękę po schodach do kościoła. Od strony ulicy Grenelskiej ruch jakiś wśród tłumu powstaje, i machanie chustkami w powietrzu; to powóz ambasady nadjeżdża: ogromna kareta poczwórna z herbami barona Mohrenheima, żółto wewnątrz wybita, z niebieską w głębi siedzenia tarczą. Na koźle obok stangreta lokaj; za karetą dwaj inni w liberji białej ze złotemi haftami; na stopniu zaś strzelec ambasady w takiejże liberji, a przytem w spodniach łosiowych, dużych butach i z rogiem myśliwskim. Zajechała kareta przed kościół; strzelec drzwiczki otworzył; pierwszy wysiadł pan baron Mohrenheim w mundurze ze wstęgą orderu legii honorowej, i podał ramię swej córce ubranej w suknię ciężką jedwabną białą, opiętą kwiatami pomarańczowemi, z kokardą niebieską u stanika, na którym mieściła się cyfra brylantów, oznaka panien honorowych dworu cesarskiego. Pani baronowa matka miała suknię jedwabną jasnobłękitną z przepysznemi białemi koronkami i z cyfrą damy dworu na ramieniu. Po tym głównym powozie zajeżdżało wiele innych jeden za drugim, a wysiadające z nich osoby zstępowały wprost na dywan, który zgłębi kościoła po schodach doń aż na chodnik uliczny się rozciągał. Byli to: hrabia i hrabina Seze baron Korf, hrabina Grenouville, baronowa Korf hrabia i hrabina Starzeńscy, wicehrabia Fauconcourt, vicehrabia de Seze, hrabina Tyszkiewiczowa, baron Traubenberg, margrabia de Montpezat, baron Stackelberg, p. Boisricheux, książe Szczerbatow pan de Kotzebue, pan de Giers i mnóstwo oficerów francuzkich i obcych; wszyscy w paradnych mundurach. Bardzo znaczna część zaproszonych osób weszła do kościoła małemi bocznemi drzwiami; w tej liczbie ambasadorowie, ministrowie, prezesi obu izb prawodawczych, orszak wojskowy prezydenta i wreszcie wielu senatorów, deputowanych i dyplomatów. Środkowa nawa kościoła napełniła się szczelnie. Ceremonji ślubnej dopełnił kardynał Richard, arcybiskup miasta Paryża. Po ślubie odbyło się w ambasadzie wielkie śniadanie, poczem młoda para wyjechała w podróż poślubną do Włoch.

Rodzina de Seze zalicza się z dawien dawna do obozu rojalistycznego. Pan młody jest prawnukiem znakomitego adwokata, który bronił Ludwika XVI przed Konwencją, i pamiętne te wyrzekł słowa: „Udaję się do sędziów, a oskarzycieli jedynie spotykam“. Wkrótce potem padła pod gilotyną głowa monarchy; p. de Seze jednakże takie sobie u ówczesnych przedstawicieli narodu zdobył poważanie przez swoję śmiałość w bronieniu niedoli, że żadnego nie doznał z tej przyczyny prześladowania.

Z nowel Tołstoja.

Dwaj staruszkowie.

(Dokończenie).

Ah... więc tu — rzekł — tu on mnie wyprzedził!...

Czy Pan przyjął moją ofiarę — nie wiem; że jego ofiarę Pan przyjął — to pewna!

Nazajutrz pożegnał swoich gospodarzy. Dali mu kołaczy na drogę i poszli do swej roboty.

12.

Rok mijał właśnie — jak Jelisej wyszedł z domu. Powrócił z wiosną. Dobił się do domu

pod wieczór. Synek był właśnie w szynku, zkąd podpity wyszedł w krótce. Jesim nuż go pytać o to i owo; zmiarkował niebawem, że synek wiele wydał pieniędzy, a zaniedbał gospodarstwo. Wykrzyczał go — syn odrzucił grubijąństwem.

— A to, czemużeś sam nie gospodarzył? „wrzasnął“. A tak poszedłeś, zabrałeś pieniądze — a teraz chcesz ich odemnie?!

Stary wpadł w złość i uderzył synka.

Nazajutrz rano nuże Jesim do starosty wedle oddania pasportu — droga wypadła obok chaty Jeliseja. Żona tegoż stała na progu.

— Witajcie kumie — dobrze wam się podróżowało kochany? Przystanął Jesim: Bóg zapłać — przybył zdrowo, po drodze zgubiłem waszego — on przyszedł — słyszę do domu. —

A gadatliwa stara: „Przyszedł, dobrodzieju po Wniebowzięciu Marji Panny. Zdrów, dziękować Bogu! Smutno nam było bez niego!... choć on to już w robocie i nie domaga — ale zawsze on głowa rodziny — i raźniej nam z nim! A jak się też chłopak ucieszył! Bez niego powiada — to jak oczom bez światła! My go kochamy — oj, kochamy bardzo dobrodzieju!

— Nu — a zastać go teraz doma?

— Jużci, jest w pasiece — zgarnia roje do kupy. O wydatny był rój. Taką siłę dał Pan Bóg pszczółkom, że stary nie zapamięta podobnej! Oj, Bóg dobry nie liczy grzechów! Wejdźcież kochany! Jakże się stary ucieszy!

I Jesim poszedł ku pasiece. Patrzy, Jelisej stoi bez siatki i rękawiczek w sieraczkowym kaftanie stoi pod brzozą — z wyciągniętemi rękami i patrzy w górę — a łysina mu świeci — zupełnie jak w Jerozolimie nad grobem Zbawiciela i nad nim błyska coś w powietrzu jak wówczas a to pszczółki, igrając w promieniu słońca, utworzyły nad jego głową, jakby świetlany wieniec otaczają go, roją się w około niego, ale go nie kłują!

A żona Jeliseja do męża: „kum przyszli“!

Jelisej obejrzał się—wyjął ostrożnie pszczółki zabłąkane w brodzie i idzie uradowany do kuma.

Zdrów kumie, zdrów mój poczciwcze? Dobrą miałeś podróż?

— Ot, szły nogi, szły i przyniosłem ci wody świętej z Jordanu. Pójdź i weź, jest u mnie. Ale czy Pan przyjął ofiarę?... nie wiem.

— No chwała Panu Bogu, żeś przybył! mówi Jelisej.

A Jesim znów po krótkiem milczeniu: „Byłyć tam nogi, były, ale czy była moja dusza — czy czyja inna?

— Bóg to wie — Bóg jeden kumie kochany!

— Z powrotem byłem w chacie, gdzieś ty przyzostał. A Jelisej z trwogą:

Bóg to jeden wie — mój kumie. Ale... wstąp — że do chaty, przyniosę miodu... Jelisej naprowadził rozmowę na sprawy gospodarskie.

Jesim ino wzdychał — a nie rzekł ani słowa ani o ludziach w chacie — ani o tem, że jako go widział w Jerozolimie. Pojął zarazem, że Bogu jest miłą tylko ta ofiara, którą Panu składamy z miłości i dobrych uczynków.

Małżeństwo w Anglji.

Więcej niż gdziekolwiek indziej w Europie małżeństwo jest głównym celem życia przeciętnej kobiety w Anglji.

Od szesnastego roku życia swego, angielka wyłącznie niemal żyje myślą wydania się za mąż. Wiele się na to składa. Nieproporcjonalny stosunek liczebny obu płci, obok wynikającej ztąd konkurencji, jest jedną z wielu przyczyn, skłaniających angielkę do usiłowań wprzęgnięcia się w upragnione jarzmo hymenu. Dla ekonomistów angielskich z pierwszej połowy bieżącego stulecia, kwestja powyższa była twardym do zgryzienia orzechem. Rozprawiano nad nią wiele i długo; rozpoczęto nawet formalną na polu tem kampanję, w celu zapobieżenia szerzeniu się „złego“. Ostatnim, a wielce charakterystycznym wyrazem usiłowań w tym względzie, było założenie „klubu kawalerów“ (Bachelor Club), zadaniem którego jest dążność do zmniejszenia liczby urodzeń w ogóle... Warunkiem sine qua non do zostania członkiem klubu jest zobowiązanie się do zerwania wszelkich możliwych stosunków z płcią piękną. Wszelkie naruszenie tej kardynalnej zasady powoduje niezwłocznie wykluczenie przestępcy z grona wyznawców celibatu, jakoteż karę pieniężną w sumie pięćdziesięciu funtów szterlingów. Jakkolwiek utrzymują złośliwi, że fundusz kasy kawalerskiego klubu, dzięki karom swym właśnie z nieprzewidzianą szybkością wzrasta.., to jednakże „Ba helor Club“ do dziś dnia funkcjonować nie przestaje, zyskując coraz nowych, chociaż wyłącznie niemal „czasowych“ zwolenników.

Jednym z powodów zachęcających angielkę do wstąpienia w szeregi kandydatek na żonę, jest też pewnego rodzaju zabezpieczenie prawne, o które w danych warunkach upominać się może śmiało. Prawo angielskie, a zwłaszcza niektóre jego artykuły nader wysoką odznaczają się moralnością... Uwodziciel np. jedynie tylko pod względem „narzeczonej“ swojej odpowiedzialnym być może prawnie. Prawo względnie surowo nawet karze człowieka, który słowa danego kobiecie nie dotrzymał, pozostawia mu wszakże zupełną swobodę wówczas, kiedy ofiara jego dzięki nieoględności własnej stała się współwinną swego upadku. Punkt powyższy tłómaczy nam właśnie ów podziwu godny „flirt“ angielskiej młodzieży płci obojga, dochodzący częstokroć do ostatnich niemal granic, nie przekraczając ich wszakże nigdy, wówczas zwłaszcza, gdy „flirtująca się“ para formalności zaręczyn udowodnić nie może. Zrywająca strona płaci nieodwołanie jako *dommages interets* wszelkie koszta, jakie jej druga policzyć zechce. Oboje narzeczeni są tu na równych prawach.

Dalszą przyczyną, dla której wczesne małżeństwa w Anglji są na porządku dziennym, jest pewien wrodzony sentymentalizm angielskiej rasy dzięki któremu młody człowiek niezwykł zbyt nadużywać swobody kawalerskiego stanu, zmieniając z całą gotowością na ciepło „domowego ogniska“, a młoda panna, pomimo przywilejów „flirtu“ nie pogardzi nigdy perspektywą wspólnego pożycia z ukochanym. O ile bowiem we Francj

np. małżeństwo daje kobiecie pownego rodzaju przywileje wolności, o tyle w Anglji przywileje te jej odejmuje. Francuzka nie wychodząca z pod opieki rodziny aż do samych stopni ślubnego ołtarza, żyć dopiero po za nim poczyna, po za nim dopiero rozpoznaje nieznane jej dotąd strony życia. Z angielką rzecz ma się całkiem przeciwnie. W Anglji panna ma dużo swobody, żyje i prowadzi się „na swoją rękę", zabezpieczającą ją od niewłaściwego kroku rękojmię w znajomości życia znajdując. To też zmieniwszy swą „panieńską swobodę" na małżeńskie „kajdany„ nosi je zazwyczaj z godnością i bez wielkiego trudu wówczas gdy mężatka francuzka nadużywa nierzadko tak długo upragnionej i do dnia ślubu nieznanej „swobody".

Obyczaje małżeńskie w Anglji różnią się też kardynalnie od francuzkich...

Angielka, zostawszy narzeczoną, całem swem zaufaniem obdarza wybranego — młodą parę spotkać można wszędzie bez tak koniecznej gdzieindziej opieki „mamy" lub jej zastępczyni. Stosunki narzeczonych odznaczają się pewną naturalną poufałością, granice której zakreślają sobie sami, za wzajemną ugodą. Jest to rys charakterystyczny obyczajów, który w komedjach angielskich jest powodem wieln niespodzianek dla niewtajemniczonego weń cudzoziemca. Faktem jest wszakże, iż żoną bywa angielka wzorową — stosunek jej bowiem do męża na przywiązaniu i wrodzonej potrzebie podziału uczuć oparty, wyklucza wszelką potrzebę oglądania się za kimś innym, który wyrachowanej w małżeństwie francuzce chłód i pustkę serca zapełnić potrzebuje. To też gdy pierwsza, pozostawszy życie całe wierną wybranemu człowiekowi, szczęście istotne w tym związku znajduje — druga w wieczystej pogoni za co raz to nowym kochaniem, zadowolenia swych uczuć nigdy nie osiąga, możliwość szczęścia wraz ze swą dobrą sławą grzebiąc bezpowrotnie.

Rysem, znamionującym dobrze angielkę jest czynny udział, jaki ona w sprawach sercowych przyjmuje. Angielka w roli biernej w tym względzie występować nie ma zwyczaju, zamiast być wybieraną, woli wybierać sama, w uczucia, których świętość rozumie, hypokryzji kobiecej nie kładąc. Jeśli pokocha, przyznaje się do tego otwarcie, gardząc zużytemi arkanami kokieterji, która uczucia strony drugiej w niepewnoś i orażniącej utrzymać zwykła, do chorobliwych je doprowadza ąc rezultatów.

Może to mniej „praktyczna" życiowo taktyka miłosna, ale za to o ileż więcej... „ludzka".

Na Rozdrożu.

(D J A L O G).

— Spostrzegam teraz dopiero, że jestem badaną.

— Obudziła pani moją ciekawość i — współczucie.

— Współczucie?

— Tak!... Nie obraziłem przecież pani? Pod „współczuciem" w danym razie rozumiem zainteresowanie się stanem moralnym i psychicznym tak wdzięcznej, jak pani, młodej istoty, postawionej kpryśnym biegiem wypadków na tem rozdrożu, z którego tylko wielkiem wysiłkiem tak zwanej woli wraca się na bity gościniec życia. Przy pojęciu „woli" postanowiłem omówienie dlatego, że mój sceptycyzm i smutne doświadczenie nie pozwalają przywiązywać wielkiej wagi do tego czynnika moralnego, podniesionego jak najwyżej przez moralność dogmatyczną, w rzeczywistości jednak tak często bezsilnego wobec prądów indywidualnego temperamentu. Poznać te prądy — to znaczy poznać człowieka, a często przewidzieć jego losy. Dlatego słuchałem uważnie opowiadania pani, bo w jej szerszych słowach doszukiwałem się treści jej pragnień i zwątpień...

— I cóż pan znalazłeś?

— Naprzód to, że w pożyciu z człowiekiem, który pani zabrał kilka najpiękniejszych lat młodości, doszłaś pani do tego punktu, kiedy na wiążące nas stosunki zaczynamy się zapatrywać wyłącznie krytycznie; do punktu, do którego w takich wypadkach dochodzimy prawie zawsze wszyscy. Jest to nieubłagana logika wszystkich stosunków, powstałych wyłącznie z kaprysu, z namiętności. Trwają one dopóty, dopóki się te namiętności nie wypowiedzą, potem dwoje ludzi, tym jedynie łańcuchem związanych, nie ma już sobie nic do powiedzenia. Nie łączy ich ani szacunek, ani wewnętrzna sympatja dusz, ani wspólne dążenie i wiara — nie mieli wspólnej niewiary nawet. Patrzą wzajemnie na siebie, jak na ograne instrumenta muzyczne, nie mogące już wydobyć z siebie silnego i świeżego dźwięku tylko skreczące denonanse...

W poglądzie pańskim mieści się oajtrafniejsze określenie mego obecnego stanu. Określić jednak trafnie coś złego, nie znaczy jeszcze wskazać sposob wyjścia z tego złego. Tem złem, a może i dobrem, moim ciężarem, lecz może i mojem zbawieniem jest — macierzyństwo. Jestem matką. Nie kocham człowieka który ohydą uwodziciela zrobił ze mnie ofiarę nazywaną dziś przez niego ciężarem, ale kocham swoje dziecko swego synka i w tej małej istotce znajduję początek poczucia obowiąku. Na nieszczęście także jestem aktorką, przebywam w sferze żyjącej tylko dniem, a raczej wieczorem dzisiejszym, uganiającej się za drugorzędnemi efektami teraz, a za kawałkiem chleba za chwilę w sferze, gdzie wyraz obowiązek wymawia się tylko w komedji, gdzie zresztą inaczej być nie może. Tak więc, moje postanowienia, powzięte rano, pękają jak bańki mydlane wieczorem, a każdy dzień ma trzy fazy, odpowiednio do których rządzą mną przemiany: obowiązek, lekkomyślność i zwątpienia. Jestem kobietą serca i poświęconą matką rano; żądną oklasków, kwiatów i cukierków komedjantką drugorzędnej sceny wieczorem; a ze starcia tych sprzeczności rodzi się przeklęta mara: zwątpienie i — rozpacz, pani przerywanych snów i nocy.

(Dokończenie nastąpi).
